

# KOKOSOWA ŁÓDŹ



**K**siężniczka Kalinka włożyła ostatnią zabawkę do wielkiego, kolorowego pudła, które znajdowało się pod ścianą. Stała na środku pokoju, podparła się małutkimi dłońmi pod boki i rzekła:  
- Nigdy nie było tu tak czysto.

- Bo tutaj nigdy nie sprzątno – powiedział wylegujący się na fotelu kot. – Co teraz będziemy robić, księżniczko? – zapytał, udając zainteresowanie.

- Na pewno nie leniuchować, Panie Kito. To, że pada deszcz, nie znaczy, że musimy się nudzić.

- Od czasu mojego pobytu na Kokosowej Wyspie mam dosyć wody – oponował kot.

- Kokosowa Wyspa ? Nigdy mi nie opowiadałeś tej historii – oczy Kalinki zalśniły z radości.

- Bo i nie ma o czym specjalnie opowiadać – Pan Kita nadal sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, mimo iż ze sprzątnaniem pokoju dziewczynki nie miał akurat nic wspólnego –nie był bowiem, jak sam stwierdził, godzin układać jej zabawek.

- Opowiedz, opowiedz! - nalegała tymczasem Kalinka. Pan Kita próbował jeszcze zasłaniać się natłokiem obowiązków, o których sobie właśnie przypomniał, lecz wiedział, że uparta księżniczka nie da za wygraną.

- No więc było to tak... – usadowił się wygodnie obok księżniczki i zaczął opowiadać. – Morze wyrzuciło mnie na brzeg. Leżałem pośród belek, sznurów, resztek jedzenia i całego szeregu rzeczy, które zazwyczaj można znaleźć na statku. Byłem głodny i przemoknięty. Czułem w ustach niemiły smak morskiej wody, a moje futro śmierdziało glonami i wodorostami. Ruszyłem brzegiem plaży w poszukiwaniu innych rozbitków. Szedłem, szedłem aż do zmierzchu. Niestety. Nie znalazłem moich towarzyszy. Co gorsze jednak, nie pamiętałem ich imion, twarzy ani niczego, co się wydarzyło, zanim się tam znalazłem.

- To straszne – zmartwiła się Kalinka. Pan Kita, nie zważając na jej wypowiedź, kontynuował:

- Gdy słońce zniknęło za linią horyzontu, zrobiło się bardzo ciemno i zimno zarazem. Nie mając żadnego schronienia, zwinąłem się w kłębek i usnąłem na plaży. Wybrałem sobie, jak mi się zdawało, miejsce na tyle odległe, aby nie zabrał mnie przypyływ. Mimo drażniącego uszy szumu fal usnąłem szybko. Spałem smacznie, śniąc o zabawach z przyjaciółmi, filiżance ciepłego mleka i pachnących wypiekach pana Krugsa... No właśnie, pan Krugs! – pomyślałem przez sen. W mojej głowie pojawiło się nazwisko, do którego byłem w stanie dopasować okrągłą, zawsze ogoloną i uśmiechniętą twarz mojego... Auuuu! – Krzyknąłem najgłośniej, jak potrafiłem. Obudziłem się przerażony. U moich stóp leżał duży kawał drewna. Z łatwością rozpoznałem charakterystyczne zdobienia. Był to fragment skrzyni, w której trzymano narzędzia. Ucieszyłem się, że obrazy i wspomnienia powoli zaczynają do mnie powracać. Chciałem pędzić co sił na brzeg. Liczyłem na to, że morze oddało coś, co mogłoby się przydać. Ale nie musiałem się fatygować, aby je zobaczyć, ponieważ to ono, podczas gdy ja smacznie spałem, zbliżyło się do mnie na wyciągnięcie łapy. Tam, gdzie jeszcze wczoraj stąpałem po piaszczystej plaży, szalały teraz groźne fale. Wyspa skurczyła się niebezpiecznie. Miałem wrażenie, że palma kokosowa znajduje się idealnie pośrodku, zupełnie jakby była tworem człowieka a nie natury. Kokosy rosły niezwykle wysoko, ale wdrapałem się na drzewo bez trudu. Próbowałem strącić jeden, ale bez skutku. Zdenerwowany i głodny uwiesiłem się na wielkim orzechu. Bujałem się na nim w prawo i w lewo. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Spadłem wraz z tym kokosem i jeszcze kilkoma innymi. Zetknięcie z ziemią nie było przyjemne, podobnie jak uderzenia kolejnych orzechów, które wylądowały na mojej głowie. W jednym z nich wydrążyłem pazurem dziurkę. Mleko płynęło wolno, ale było bardzo smaczne. W ten sposób wypłem je po kolei z wszystkich kokosów. Z pełnym brzuchem i licznymi siniakami ponownie zasnąłem. Gdy się obudziłem, spostrzegłem, że morze powróciło na swoje miejsce, czyniąc wyspę o wiele większą. Pobiegnę na plażę w poszukiwaniu jakichkolwiek sprzętów ze statku, które mogłyby mi się przydać. Na brzegu znalazłem fragmenty skrzyni i zakopane w piachu narzędzia: stary scyzoryk, piłę, siekierę... Prawdziwy skarb na bezludnej wyspie. Mógłbym sobie zrobić dom albo łódź! – pomyślałem. Szybko jednak porzuciłem te nadzieje, gdy spojrzałem na jedyną rosnącą tam palmę. Mimo to zebrałem wszystkie narzędzia, które udało mi się znaleźć i przeniosłem je pod drzewo. W kolejnych dniach chodziłem na plażę w poszukiwaniu rzeczy

ze statku. Znalazłem trochę lin, pusty słoik po ogórkach, zbutwiały koc, pod którym zapewne spał jakiś marynarz i jeszcze kilka zupełnie nieprzydatnych przedmiotów. Po pewnym czasie morze przestało wyrzucać rzeczy na brzeg. Bardziej zmartwił mnie jednak fakt, że drastycznie zmalała również ilość znajdujących się na drzewie kokosów. Powziąłem decyzję, że jak najszybciej muszę wydostać się z wyspy.

- Ale jak? – zdziwiła się księżniczka, która z zapartym tchem słuchała historii Pana Kity.

- To proste, Kalinko! – odparł buńczucznie kot. – Na łodzi. Nie chciałem ścinać drzewa, bo bałem się, że utracę jedyne źródło pożywienia. Zresztą, jeden pień to trochę za mało na zbudowanie łodzi. Za to liści miałem pod dostatkiem. Uplotłem z nich ogromny kosz. Moja łódź unosiła się na wodzie, lecz gdy do niej wszedłem, zarwało się dno. Smutny wróciłem pod drzewo. W tych dniach słońce prażyło wyjątkowo mocno. Spostrzegłem, że kilka liści, których nie zużyłem do budowy łodzi, wyschło na wiór. Były bardzo twarde. Pomyślałem sobie, że jeśli zrobię ponownie kosz i zostawię go przez jakiś czas na słońcu, liście wyschną, zrobią się twarde jak skała i tym razem łódź na pewno się nie zarwie. Odczekałem dla pewności kilka dni dłużej. Wszedłem do łodzi i... nic. Skakałem w niej i nic. Żadnych pęknięć, zniszczeń. Uradowany zaciągnąłem ją na brzeg i wskoczyłem do środka. Byłem już dość daleko od brzegu, gdy zauważyłem, że dno zaczyna przeciekać. Byłem tak podekscytowany faktem, że łódź jest bardzo wytrzymała, że nie zauważyłem, że wysychające liście skurczyły się, tworząc w ten sposób dziury w miejscach, w których ich wcześniej nie było. Zacząłem co sił machać rękoma, aby zdążyć dopłynąć do brzegu, zanim do kosza dostanie się zbyt dużo wody. Moja próba wydostania się z Kokosowej Wyspy ponownie skończyła się w ten sam sposób. Na drzewie został już tylko jeden orzech lecz ja nie miałem apetytu. Nie chciało mi się spacerować, jeść, pić ani szukać sposobów na wydostanie się. Jednocześnie zaobserwowałem pewną prawidłowość: ja robiłem się coraz chudszy a orzech coraz większy. Po kilku dniach był tak duży, że ledwie trzymał się na drzewie. Pewnej nocy spadł z hukiem na ziemię budząc mnie. Rozpadł się na dwie równe części, a całe mleko rozlało się i wsiąkło w piach. Straciłem wtedy wszelką nadzieję. Byłem już bardzo głodny, więc zacząłem wyjadać miąższ. Był bardzo soczysty i o wiele lepszy niż samo mleko. Niestety szybko też wysychał. Przezornie nabierałem go tyle, ile mogłem i włożyłem do słoika, który znalazłem na plaży. Mój skarb zakopałem głęboko w ziemi jako zapasy na czarną godzinę. W kolejnych dniach wydrążyłem całą połówkę kokosa. Zrobiłem to tak dokładnie, że nie zostało w środku ani grama miąższu. Łupina była tak duża, że wyścieliłem dno kocem i położyłem się. Zacząłem się bujać. Patrzyłem w niebo i czułem się tak, jakbym leżał właśnie na łodzi, która unosi się na falach. Hurrrrraaaaa!!!! – aż podskoczyłem z zachwytem, uświadamiając sobie, że właśnie znalazłem idealną łódź: twardą jak skała, przestronną i nieprzeciekającą. Zrolowałem i zaplotłem liście, robiąc w ten sposób maszt i wiosła. Gdy wyschły na słońcu, były równie twarde jak łupina orzecha, a fakt, iż miały dziury, w tym wypadku był bez znaczenia. Z połowy koca zrobiłem żagiel. Wykopałem również mój skarb, licząc, iż wystarczy mi pożywienia do chwili, gdy znajdę jakiś ład. Popatrzyłem jeszcze raz na palmę, która przez cały ten czas utrzymywała mnie przy życiu, po czym spuściłem łódź na wodę. Akurat był odpływ. Czasami wiosłowałem, innym razem wykorzystywałem fale albo siłę wiatru. Nie miałem kompasu ani mapy. Po prostu płynąłem

przed siebie w nieznanym kierunku. Miałem nadzieję, że fale ponownie wyrzucą mnie na brzeg. Zapasy w słoiku dawno się skończyły. Dryfowałem głodny, spragniony... Pewnej nocy zerwała się straszna burza. Morze szalało. Niebo raz po raz było rozdierane piorunami, a łódź z trudem utrzymywała się na wodzie. Nagle... wyrosła przede mną ogromna fala. Łupina wywróciła się do góry dnem, a ja znalazłem się pod wodą. Próbowałem się ratować, ale im bardziej się starałem, tym szybciej tonąłem. Ale zdarzył się cud... Obudziłem się ponownie na brzegu, na wyspie jej książęcej mości, Kalinki – Pan Kita uśmiechnął się do swojej słuchaczki. Ta zaś nagrodziła go gromkimi oklaskami.

- Nie traćmy ani sekundy dłużej! – księżniczka zerwała się z łóżka. – Biegnijmy do nadwornego kronikarza! Musimy spisać tę piękną i bohaterską opowieść!

W tym samym momencie usłyszeli znajomy dźwięk dzwonka. Tym razem to Pan Kita zerwał się na równe nogi. Wszystko, co zechcesz, pani... ale po obiedzie. Ta historia znacznie zaostrzyła mój apetyt.

Kalinka wiedziała, że kucharz będzie zły, gdy spóźnią się na obiad, toteż bez ociągania wstała i wraz z kotem poszła do królewskiej jadalni.

- Dzisiaj *crème de la crème* mojej kuchni, specjalność zakładu – pan Pietruszka wychwalał swój obiad. – Przygotowałem coś absolutnie wyjątkowego: prażone na patelni płaty kokosa z jagodami i malinami.

Kalinka popatrzyła na Pana Kitę. Oboje zaczęli się głośno śmiać.

- Moje ulubione – szepnął kot. Puścił jeszcze oko do księżniczki, po czym zaczęli jeść.

**KONIEC**